

Subtelna, zaskakująca opowieść  
o namiętności i zakazanej miłości



FOR CORRESPONDENCE  
FOR ADDRESS ONLY

*Murree  
from Murree*

# William Trevor

## *Łato miłości*

Świat Książki

*Łato miłości*

William  
Trevor  
*Łato miłości*

Z angielskiego przełożył  
*Andrzej Leszczyński*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
LOVE AND SUMMER

Redaktor prowadzący  
*Monika Koch*

Redakcja  
*Anna Jutta-Walenko*

Redakcja techniczna  
*Julita Czachorowska*

Korekta  
*Maciej Korbasiński*  
*Jadwiga Przeczek*

Copyright © William Trevor, 2009

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Hankiewiczza 2, 02-103 Warszawa

ISBN 978-83-247-2697-4

Nr 45119

*Dla Jane*

Pewnego czerwcowego popołudnia, kilka lat po połowie ubiegłego stulecia, pani Eileen Connulty wyruszyła w swą ostatnią drogę przez Rathmoye, od kamienicy pod numerem czwartym na Rynku do Magennis Street, a dalej przez Hurley Lane, Irish Street i Cloughjordan Road aż do kościoła pod wezwaniem Najświętszego Odkupiciela, gdzie miała spędzić nadchodzącą noc.

Życie, które właśnie dobiegło końca, było przepełnione dobrymi uczynkami, jak również stanowczością, zwłaszcza w zakresie spraw domowych i rodzinnych. Nadzieja na osobiste zadowolenie, które przed laty stało się przyczyną bezwarunkowej akceptacji stanu małżeńskiego oraz wydania na świat dwojga dzieci, już dawno wypaliła się do cna. Głęboko rozczarował ją zarówno mąż, jak i córka. W obliczu zbliżającej się śmierci ogarniał ją strach, że w zaświatach znów będzie musiała połączyć się z mężem, i modliła się gorliwie, by stało się inaczej. Czuła satysfakcję na myśl, że z córką nie utrzymuje żadnych kontaktów, jednakże z powodu syna – który dobiegał teraz pięćdziesiątki, lecz był jej pupilkiem już od chwili narodzin – wyplakiwała oczy, niejako zmuszona zostawić go samemu sobie.

Żaluzje we wszystkich domach po drodze, opuszczone na czas przejścia konduktu, zaraz potem powędrowały znowu do góry. Pozamykane sklepy zaczęto otwierać. Mężczyźni

stojący z odkrytymi głowami wkładali z powrotem czapki i kapelusze, a dzieci, które zastygły bez ruchu przy Hurley Lane, wróciły do przerwanych zabaw. Robotnicy zakładu pogrzebowego ostrożnie zeszli po schodach do głównej nawy kościoła. Na jutrzejszą mszę miał przyjechać sam biskup, bo przecież ostatecznie pani Connulty zasłużyła sobie na pochówek pod jego czujnym okiem.

Ludzie z jej pokolenia mawiali, że rodzina męża, do której weszła, władała połową Rathmoye, dysponując składami węglowymi na Magennis Street, a przede wszystkim kamienicą na Rynku pod numerem czwartym, pensjonatem wybudowanym przez Connultych w 1903 roku. Przez następne dziesięciolecia nabywali kolejne posiadłości w mieście, a po gruntownym remoncie i przywróceniu do stanu użyteczności lokale w nich były wynajmowane za niezbyt wygórowane czynsze, dzięki czemu ostatecznie majątek rodzinny poważnie zyskał. Ludzie jednak z wyraźną przesadą twierdzili, że do Connultych należy już połowa Rathmoye.

Małe, stłoczone i schludne, było przykładem miasteczka, którego przyczyn powstania nikt nie potrafił określić. Okoliczni farmerzy w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca spędzali tu na targ swoje bydło i brali kredyty w jednym z dwóch tutejszych banków. Usuwali zęby w gabinetach dentystrycznych na Rynku, od czasu do czasu konsultowali się z którymś z miejscowych radców prawnych, oddawali do naprawy maszyny rolnicze w stacji Desa Devlina przy szosie do Nenagh, targowali się z Heffernanem co do ceny nasion siewnych, po czym upijali się w jednym z dwóch miejscowych barów. Ich żony kupowały ubrania albo w markecie Cash and Carry, albo w sklepie McGoverna, jeśli tylko nie musiały zanadto oszczędzać; w buty zaopatrywały się u Tylera, w pościel, zasłony i tkaniny obiciowe w sklepie Corbally'ego.

Wcześniej łatwo było znaleźć zatrudnienie w miejscowej stalowni, lecz gdy ta razem z przyległą elektrownią została objęta planem Shannon, pozostały wyłącznie miejsca pracy w mleczarni i wytwórni mleka skondensowanego, na okolicznych budowach, w sklepach i barach, nie wspominając o zakładzie butelkowania wody źródlanej. Na Rynku mieścił się jeszcze stary budynek sądu, a na końcu Mill Street świeciła pustkami od dawna nieużywana stacja kolejowa. Ponadto w miasteczku były dwa kościoły, ośrodek kongregacji Braci w Chrystusie oraz technikum. Plany budowy krytej pływalni czekały na dopływ funduszy.

Ludzie mawiali, że w Rathmoye nic się nie dzieje, ale większość z nich ciągle tu mieszkała. Wyjeżdżali głównie młodzi, do Dublina, Corku czy Limerick, czasem do Anglii, a niektórzy nawet do Ameryki. Zazwyczaj jednak wracali. Tak więc twierdzenie, że nic się tu nie dzieje, również było przesadzone.

Msza żałobna odbyła się następnego ranka, a po jej zakończeniu żałobnicy, którzy zebrali się przed bramą cmentarza, powtarzali, że zmarła nigdy nie powinna zostać zapomniana tak w samym miasteczku, jak i w okolicy. Kobiety, zasiadające zwykle wokół niej podczas nabożeństw w kościele Najświętszego Odkupiciela, uznały, że była niedoścignionym wzorem dla nich wszystkich. Wspominały, że nigdy nie było dla niej nazbyt trudnych zadań i że wiele godzin poświęcała na polerowanie do połysku mosiężnych elementów czy zeskrobywanie zakrzepłej parafiny, czemu przecież nie było końca. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat kwiaty wokół ołtarza ani razu nie cierpiały na brak świeżej wody, a ogłoszenia misyjne na tablicy były zmieniane na bieżąco. Sutanny, komże i szaty liturgiczne nigdy nie czekały na drobne naprawy. A mycie kafelków w prezbiterium zmarła uważała za swój święty obowiązek.

Kiedy kobiety wymieniały się tego typu wspomnieniami, coraz bardziej wychwalając zmarłą sąsiadkę, młody człowiek w jasnym tweedowym garniturze, który trzymał się nieco na uboczu tego ciepłego ranka, skrycie fotografował obserwowaną scenę. Wcześniej przejechał na rowerze dwanaście kilometrów od miejsca swego zamieszkania, lecz dalszą podróż uniemożliwił mu kondukt pogrzebowy. Miał zamiar sfotografować tutejsze spalone kino, o którym dowiedział się w pobliskim miasteczku, gdzie uwiecznił na zdjęciach tragiczny stan zabudowań na zboczu wzgórza, chylących się ku ruinie po niedawnym osunięciu gruntu.

Ciemnowłosa i szczupły, dobrze przed trzydziestką, nie był nikomu znany w Rathmoye. Jeśli pewne elementy jego stroju, na przykład stylowy krawat w zielono-granatowe prążki, nasuwały wniosek o dobrym guście, to całość obrazu burzył powypychany, workowaty garnitur. Podobnie myślące były jego rysy, które znamionowały niezwykłą w tym wieku wrodzoną powagę i tym bardziej kontrastowały z ogólnym wrażeniem. Nazywał się Florian Kilderry.

– Czyj to pogrzeb? – zapytał półgłosem, gdy tylko wmieszal się w tłum po wyjściu z za zaparkowanego auta, skąd ukradkiem zrobił pierwsze zdjęcia. Uzyskawszy odpowiedź, lekko skinął głową i zapytał o drogę do ruin spalonego kina. – Dzięki – odrzekł uprzejmie, uśmiechając się przyjaźnie. – Dzięki – powtórzył, po czym przepchnął się z rowerem przez kolumnę żałobników.

Ani syn pani Connulty, ani jej córka nie wiedzieli, że pogrzeb został utrwalony na zdjęciach w ten niecodzienny sposób, i nawet gdy później, niezależnie od siebie, wrócili do kamienicy na Rynku pod numerem czwartym, wciąż nie byli świadomi, że zaszło coś niespodziewanego. Tłum sprzed cmentarza zaczął się szybko rozchodzić, część osób wyruszyła właśnie

w stronę Rynku, inni wracali do swych przerwanych porannych obowiązków. Jeden z ostatnich odszedł niejaki Orpen Wren, stary protestant, głęboko przeświadczony, że w zakopanej właśnie trumnie znalazły się doczesne szczątki leciwej gospodyni domowej, której śmierć nastąpiła trzydzieści cztery lata temu w doskonale mu znanej posiadłości. Otaczający go wcześniej stłumiony gwar głosów pełnych szacunku dla zmarłej ustąpił miejsca warkotowi odjeżdżających kolejno samochodów. Mimo to trzymający się na uboczu Orpen został jeszcze przez jakiś czas w samotności, zanim i on poszedł swoją drogą.

\*

Pedałując w kierunku wyjazdu z miasta, Ellie zachodziła w głowę, kim mógł być mężczyzna robiący zdjęcia. Sposób, w jaki wypytywał o starą malowniczą kamienicę, świadczył wyraźnie, że w ogóle nie znał Rathmoye, zresztą nigdy nie widziała go wcześniej na ulicy czy w sklepie. Zastanawiała się, czy był spokrewniony z rodziną Connultych, gdyż wypytywał o dom należący właśnie do nich, w dodatku przy okazji pogrzebu pani Connulty. Nigdy wcześniej nie widziała też, by ktoś fotografował pogrzeb, nabrała więc podejrzeń, że mógł to być człowiek najęty przez rodzinę zmarłej. Nie dało się także wykluczyć, że pracował dla prasy, na przykład dla „Nenagh News” albo dla „Nationalist”, bo w gazetach widywała niekiedy zdjęcia konduktów żałobnych. Gdyby po pogrzebie poszła do kamienicy na Rynku, mogłaby zapytać o niego pannę Connulty, ale była umówiona z technikiem od sztucznej inseminacji, któremu obiecała, że będzie obecna na farmie.

Przyspieszyła nieco, żeby się nie spóźnić, chociaż wszystko wskazywało, że dotrze na miejsce o czasie. Miała jednak wielką ochotę zawrócić. Marzyła, by obejrzeć wnętrze

kamienicy, w której jeszcze nigdy nie była, mimo że od dłuższego czasu dostarczała jajka pani Connulty.

Pomyślała teraz, że zdjęcia mógł również zamówić jeden z księży, na przykład ojciec Balfe, gdyby w końcu zdecydował się na założenie pamiątkowej księgi parafialnej, który to pomysł podsunęła mu siostra Clare. Była pewna, że ojciec Balfe prędzej by przystał na ten pomysł niż ojciec Millane, chociaż nie wiedziała, co taka księga miałaby zawierać. Podejrzewała zresztą, że sama mogła się znaleźć na którymś zdjęciu. Pamiętała tylko, że gdy zauważyła uniesiony aparat, jej uwagę przyciągnęły szczupłe i długie, delikatne palce fotografa.

Gdy Ellie wjechała na podwórko, biała furgonetka już tam stała, ale pan Brennock dopiero z niej wysiadał. Przeprosiła go, lecz odparł, że nie ma za co. Zaproponowała mu więc filiżankę herbaty.

\*

Zaledwie po kilku minutach spędzonych wśród ruin spalonego kina Florian Kilderry postanowił zrobić sobie przerwę w podróży, wstępując do pobliskiego baru Dano Mahoney. Przy ruinach zaczął go jakiś mężczyzna, który zwrócił uwagę na jego rower i podszedł, aby mu powiedzieć, że nie powinien się tam kręcić. Wskazał mu stojącą przy ulicy tablicę z napisem ostrzegawczym, na co Florian odparł, że jej nie zauważył, chociaż w rzeczywistości zapoznał się z jej treścią.

– Potrzebna zgoda kierowniczkii – poinformował go tamten, zamykając na dwie kłódki prowizoryczne drzwi spalonego budynku, które w ogóle nie powinny być otwarte. – Pannę O’Keeffe znajdzie pan w składzie węgla – wyjaśnił. – Ona wyda pisemne pozwolenie, jeśli uzna to za stosowne. – Ale gdy Florian zapytał, gdzie znajduje się ten skład węgla, usłyszał, że dzisiaj i tak jest zamknięty ze względu na pogrzeb

właścicielki. – Musiał pan widzieć rozwieszane na mieście klepsydry – dodał mężczyzna.

W barze Florian zamówił lampkę wina, usiadł z nią przy stoliku w rogu i zapalił papierosa. Pomyślał, że przyjechał tu na darmo i tylko niespodziewany pogrzeb stał się rekompensatą jego wysiłku, a zarazem przed oczami stanęły mu obrazy z tego zdarzenia. Żałobnicy przed bramą cmentarza skupili się w licznych gromadkach, był wśród nich ksiądz i parę zakonnic. Kilka samotnych osób od razu ruszyło ulicą, większość jednak stała z minami pełnymi zakłopotania, jakby wyczuwając szóstym zmysłem, że w takiej chwili należy trzymać się z innymi. Dla niego nie był to obcy widok, zdarzało mu się już fotografować pogrzeby, dwa razy kazano mu nawet, by przestał to robić. Bywał świadkiem chwil dramatycznych, wybuchów nieopanowanej rozpacz, jednakże dzisiaj do niczego takiego nie doszło.

Z drugiej strony to, co udało mu się zobaczyć w ruinach kina, było obiecujące. Za potłuczoną szybą gabloty wciąż wisiał przekrzywiony i wyblakły plakat musicalu *Radość idioty* z Normą Shearer w roli głównej. Miał już go sfotografować, kiedy usłyszał głośnie krzyki strażnika. W każdym razie kino zrobiło na nim wrażenie. Głównie dlatego, że nazywało się Koloseum i miało niedawno zainstalowany system przestrzennego dźwięku marki Western Electric.

Bar wypełnił się zapachem smażonej wędzonki i dobiegającymi z radia dźwiękami. Ściany lokalu zdobiły zdjęcia gwiazd sportu, zapaśników, bokserów, dżokejów czy hokeistów, uwiecznionych na spacerze z psem bądź na koniu. Właściciel pubu, jak głosił oprawiony w ramki wycinek prasowy, sam był pięściarzem i wytrzymał nawet pięć rund walki z Jackiem Doyle'em; miały o tym świadczyć również splekane bokserskie rękawice wiszące pod półką za barem.

– Wystarczy zapukać w kontuar, jak będzie trzeba jeszcze wina – oznajmiła barmanka, która chwilę wcześniej zachwalała mu szykowaną przez siebie przekąskę.

Odrzekł, że jedna lampka mu wystarczy. Kiedy dopalił papierosa, podniósł się i odstawił pusty kieliszek na kontuar. Kobieta zerknęła przez ramię, pożegnała go serdecznie i zaprosiła, żeby zajrzał tu jeszcze kiedyś.

– Z przyjemnością – powiedział szczerze.

Wyszedł na ulicę i przystanął chwilę w ciepłym popołudniowym słońcu, mrużąc oczy z lubością, zwrócony tyłem do masywnych drzwi lokalu. W końcu wsiadł na rower i ruszył w drogę powrotną. Mieszkał sam. Nie musiał się spieszyć.

\*

Codzienna rutyna w Rathmoye, zakłócona przez pogrzeb, stopniowo wróciła do normy. W domu pod numerem czwartym na Rynku zaczęto robić porządki po tym, jak niemal sto osób przyjęło zaproszenie na żałobny poczęstunek. Z przestronnego salonu na pierwszym piętrze znoszono do kuchni na parterze tace pełne filiżanek i spodków, zbierano zewsząd szklaneczki, otwierano okna, opróżniano popielniczki. Po południu, kiedy wyprane ścierki i obrusy były już porozwieszane, a dywany i chodnik na schodach odkurzone, zwolniono wreszcie dzienną służbę.

Córka pani Connulty, która po raz pierwszy od śmierci matki została sama w domu, zaczęła przeglądać należącą teraz do niej biżuterię: naszyjniki z lazurytu i jadeitu, z granatu i bursztynu, kolczyki z szafirami, perłami i opalami, pierścionki z brylantami, pierścień zaręczynowy z rubinem, trzy kamee. W szkatułce znajdował się ponadto różaniec, który nie został jednak uwzględniony w testamencie, zresztą miał niewielką wartość w porównaniu z resztą biżuterii.

Mimo osiągnięcia wieku średniego była znana w rodzinnym Rathmoye głównie jako „panna Connulty”, a więc pod formalnym tytułem, jaki przyłgnął do niej ponad dwadzieścia lat wcześniej, gdy matka przestała się do niej zwracać po imieniu nadanym podczas chrztu. Wręcz nieświadomie jej brat poszedł za przykładem matki, a kiedy zmarł ich ojciec, można było odnieść wrażenie, że już nikt w domu nie pamięta jej imienia. Aż do tej pory określenie „panna Connulty” było w mieście czymś bardziej naturalnym niż imię, jakim zwracano się do niej w młodości.

W sumie naliczyła trzydzieści dwie sztuki odziedziczonej biżuterii, doskonale jej znanej, którą zamierzała teraz nosić, i to na co dzień, podobnie jak jej matka. Doszła do tego wniosku na chłodno, bez szczególnych emocji. Niektóre z tych precjozów podobały jej się bardziej od innych. „Co tutaj robisz, dziecko?!”, zapytała przed laty matka, zastając ją w tym samym pokoju, gdy w miękkich kapciach weszła do niego bezgłośnie. A ona siedziała wtedy przed lustrem ze sznurem granatów na szyi, nawet jeszcze niezapiętym, gdyż mocowała się nieco z zameczkiem, zbyt silnie ściskając go w palcach. Kiedy je rozwarła, naszyjnik z brzękiem spadł na toaletkę, a pani Connulty, wysoka i postawna niczym posąg, obwieściła donośnie, że chyba będzie musiała wezwać patrol gwardii.

„Och, nie! Proszę! Nie wzywaj gwardii!”. Te dziecięce histeryczne okrzyki stały się jej teraz w pamięci, a lodowate palce strachu ponownie zacisnęły się na żołądku. Mimo to matka zawołała do stojącej na schodach osłupiałej pokojówki: „Wezwij gwardzistów, Kitty!”. Następnie stanowczym tonem kazała jej odłożyć naszyjnik, po czym dokładnie sprawdziła, czy reszta biżuterii jest na swoim miejscu. Kiedy patrol gwardii wkroczył do domu, matka poprosiła dowódcę

i kazała jej opowiedzieć mu szczegółowo, co zrobiła. Gdy skończyła relację, gwardzista tylko z ubolewaniem pokręcił głową.

Niższa od matki i sporo szczuplejsza, zachowała jednak ledwie cień urody z panińskich lat. Przez włosy poprzetykane siwizną jej cera zdawała się ciemniejsza, niż była w rzeczywistości, a liczne zmarszczki przydawały jej wieku. Zresztą często czuła się jak stara kobieta i brzydziła się wszystkiego, co jej przypominało, że osiągnęła wiek średni, i przekraczała go ze świadomością, że ominęło ją w życiu bardzo wiele z tego, na co kiedyś tak liczyła. Szybko zgarnęła z powrotem do górnej szuflady toaletki całą biżuterię, która, jak pomyślała z goryczą, w całości należała teraz do niej. Zostawiła na blacie tylko ten sznur granatów, żeby nacieszyć nim oczy mimo ponurego nastroju tego żałobnego dnia.

\*

Joseph Paul Connulty był tyczkowatym mężczyzną o pociągłej twarzy oraz szpakowatych włosach zaczesanych gładko do tyłu i mocno błyszczących od regularnego stosowania brylantyny. Okulary, zawieszane na szyi na tasiemce, kołysały się na tle ciemnej serży, z której miał garnitur. Z kieszonki na piersi wystawały skuwki dwóch długopisów. W lewej kłapie marynarki lśnił metalowy znaczek Ruchu Pionierskiego propagującego nową filozofię opieki nad ludźmi starymi.

Pozostając w rozterce mimo powtórnej wizyty na cmentarzu, na którą się zdecydował, żeby w samotności pomedytować nad usypaną już mogiłą, skierował swe kroki do składów węgla. Magazyny były zamknięte, powód wyjaśniała kartka przyklejona na drzwiach biura. Na skrzyni ciężarówki stały gotowe do transportu wypchane worki z wymalowanym na nich jego nazwiskiem. Tutaj czuł się jak w domu, całe jego dorosłe